

## Wójtowicz Milena

### Wielka podróż małej żaby

Z „Science Fiction” nr 12 – luty 2002

Życie potrafi człowiekowi spłatać naprawdę paskudnego figla. Jestem tego żywym przykładem. Ot, żyłam sobie spokojnie w małej wiosce pod lasem, w której księżęta tradycyjnie szukają sobie żon. Każda dziewczyna ma określone przeznaczenie. Albo ona, albo któraś z jej córek, wnuczek itd. zostanie królową i będzie miała syna, który przyjedzie do wioski po swoją żonę.

No i niby wszystko jest proste i jasne, ale ja zawsze miałam pecha. Jestem najmłodszą, trzynastą córką kowala. Moja matka miała straszne ambicje i koniecznie chciała, by któraś z jej córek została królową. Kiedy ja przyszłam na świat, była właśnie zajęta przygotowaniem do ślubu mojej najstarszej siostry z jakimś hrabią. Z tego wszystkiego zapomniała mnie nazwać, więc wszyscy wołali na mnie „brzdąc” albo „żabcia”. I tak zostało. No więc na imię mam Żaba.

We wszystkich bajkach najmłodsze córki są zazwyczaj najpiękniejsze, najmiłsze, najgospodarniejsze itd. Nic podobnego! Mam jasne włosy (to rodzinne), ale te, zamiast układać się w loki, zawsze były proste, więc pewnego dnia matka postanowiła je zakręcić. Wezwała na pomoc wioskową czarownicę. Tak naprawdę to ona wcale nie jest czarownicą. Tylko udaje. Jedyne, co umie przyrządzić, to mikstura na przedzenie i ta straszna maź, która miała zakręcić moje włosy. Efekt z tego taki, że teraz na głowie zamiast linii prostych mam kąty proste. Na początku czułam się trochę dziwnie, ale już się zdążyłam przyzwycząić.

Mam też wielkie zielone oczy, tylko że one zamiast lśnić zielenią łąk i lasów, przypominają dwa zamulone bajorka. Na samym środku mojej twarzy znalazł sobie miejsce zadarty, piegowaty nos. Jak widać, nie lśni ode mnie blask nieziemskiej urody.

Oczywiście mogłabym to sobie zrekomensować miłym charakterem i różnymi talentami, ale one też są nie takie jak być powinny. Nienawidzę gotować, sprzątać i paść gęsi, krów i innych zwierząt. Śpiewam gorzej niż stara wrona, ze strun harfy robię żyłki do wędek, haftując serwetkę, przy okazji robię z siebie i tych, którzy znajdują się w pobliżu, sitko. Innymi słowy, jestem kompletnie dziwaczna.

Ale jeszcze dziwniejsza jest moja przyszłość. Powinnam tu chyba wspomnieć o tym, że u nas każdy wie, jak potoczą się jego losy. Przy okazji każdego urodziny do wioski zagląda taki miły, pomarszczony jak suszona morela staruszek, patrzy na bobasa, uśmiecha się i mówi, co będzie dalej. Jak już mamie wywietrzył z głowy ślub mojej siostry, to zainteresowała się, co to ze mną będzie. Staruszek przyszedł, spojrzął na mnie i troszkę się stropił. Spojrzął po raz drugi i podrapał się w brodę. Mama nie wytrzymała napięcia i zemdląła. Wszyscy rzucili się ją cucić, a staruszek wymamrotał pod nosem coś o moim przeznaczeniu i poszedł sobie. Nikt nie dosłyszał, co też on tam powiedział, i każdy bał się pytać.

Wiadomo, zbytnie wścibstwo może sprowadzić nieszczęście. Więc mama żyła w strasznym stresie - po raz pierwszy nie wiedziała, co spotka jej córeczkę. Tatkę mało to obchodziło, on już dawno gubił się w tytułach tych szlachciców, za których powychodziły moje siostry. Mam wrażenie, że te śluby wywierają na niego zły wpływ. Po każdym jednym długo dochodził do siebie, a i to nie do końca. Trudno, czasami tak się dzieje. Niektórzy są tylko ofiarami własnego przeznaczenia. Albo przeznaczenia własnych dzieci.

Gdzieś koło ślubu mojej ósmej siostry tatko przestał się odzywać. Mama tego nie zauważyła. No, przynajmniej nie od razu. Tak jest zajęta słuchaniem samej siebie, że nawet nie zauważa, kiedy inni przestają mówić. Po jakimś czasie oczywiście dotarło do niej, że tatko jest jakiś milczący, ale nie obeszło jej to zbytnio. Właśnie miała na głowie zaręczyny mojej dziewiątej siostry.

Tak w ogóle, to ja mówiłam o moim przeznaczeniu. Miałam je, oczywiście. Podobno każdy je ma. Rzecz w tym, że nikt go nie znał, oprócz tego staruszka. No i może jeszcze jakiś jasnowidz mógłby je przewidzieć, ale kto by się zainteresował przeznaczeniem kogoś takiego jak ja. Więc żyłam sobie spokojnie, grając z tatką w bierki i łowiąc rybki w strumyku. Aż pewnego dnia moja trzecia siostra, jedyna, która nie wyszła za szlachcica, tylko za sąsiada zza płotu, urodziła dziecko. Jak zawsze przyszedł staruszek. Los chciał, że zaraz w drzwiach natknął się na mnie. Zdziwił się strasznie.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytał.

Cóż było robić. Mama spakowała mi węzełek i jeszcze tego dnia wyruszyłam szukać swojego przeznaczenia, nie wiedząc jak ono wygląda, ani gdzie je znaleźć.

Pierwszy dzień nie był taki zły. Akurat w okolicy stał zamek mojej czwartej siostry, która wyszła za barona. To teraz strasznie modne wśród arystokracji, żeby szukać sobie żony w tej samej wiosce, z której pochodzą wszystkie miłościwie nam panujące królowe w sąsiedztwie. Strasznie ci arystokraci uparci, jeśli chodzi o pochodzenie społeczne przyszłej żony. Tylko prosta dziewczyna ze wsi i nikt inny. Te biedne szlachcianki siedzą smutne pod ścianami. Czasem trafi się jakiś zdolny szewczyk, świniopas albo inny, co sobie jasnie panienkę na przechadzce wypatrzył i zakochał się na całego. A jak nie, to jasnie panna stara panną będzie.

No więc, jak tylko ta cała szlachta się dowiedziała, że do baronowej siostrzyczka ze wsi przyjechała, zważyło się tyle ludzi, że oddychać nie było można. Śmieszne to było, jak wpadało kilku markizów, czy innych takich, wyeleganconych, z uśmiechem na ustach, a na mój widok miny im rzedły i nóżki zaczynały się plątać. Bynajmniej nie z zachwytu. Już chyba mówiłam, że ładna nie jestem. Nawet chłopskie pochodzenie nie zastąpi mi braków w, jak to moja siostra, poduczona przy szlachcie, określiła, „aparycji”.

Na szukaniu sobie męża, od którego na pół wiorsty czuć jakimś mazidłem, zrobionym do tego z jakichś zagranicznych okropności, nie bardzo mi zależało, więc mnie mało obeszło, że żaden młody szlachcic nie zamienił ze mną nawet słowa, za to paru nagle strasznie się zainteresowało wędnącymi pod ścianą szlachciankami. Strasznie były mi te panienki wdzięczne. Jedna mi podarowała piękną suknię na drogę, ale gdzie ja bym w czymś takim poszła. No i jak bym wyglądała. Ładnemu we wszystkim ładnie, a brzydkiemu w ładnym jeszcze brzydziej. No, ale podarunku oddać nie wypadało, więc uprosiłam siostrę, żeby mi pomogła tę śliczność trochę obrzydzić. Odprułyśmy parę koronek, falbanek i perełek, ucięłyśmy tu i tam. To znaczy ona obcinała, szyla i fastrygowała, a ja tylko patrzyłam, bo krawcowa ze mnie żadna.

Ani się obejrzałam, jak miałam całkiem przyzwoitą sukienkę, gotową na to, by ją rano włożyć i ruszać dalej. Szwagier baron miał dobre serce i chciał mi dać na drogę powóz albo konia, ale jak ja znajdę moje przeznaczenie, jadąc na koniu czy w powozie. To dobre dla księżąt i wielkich panów. Ich przeznaczenia są duże, czasem nawet krzyczą, gdzie są. A ja, to co - prosta wiejska dziewczyna. Jak ja bym na jakimś koniu szybszym niż wiatr jechała, to pewnie bym mój los przeoczyła. A to by nie było dobrze. W końcu po to poszłam w świat, żeby go znaleźć. Jakże ja wrócę do domu bez mojego przeznaczenia? Więc nie wzięłam konia ani powozu i następnego dnia wyruszyłam piechotą w drogę, a panienki szlachcianki machały mi chusteczkami z wież zamkowych.

Szłam sobie, szłam i troszeczkę mi się nudzić zaczęło. Tego mojego przeznaczenia nigdzie jakoś nie było widać, krajobraz taki się monotony zrobić: drzewo - łąka - drzewo. Nogi mnie już zaczynały boleć i nawet trochę żałowałam, że nie wzięłam tego powozu, co mi go szwagier baron chciał dać.

Tyle się nasłuchiwałam w domu od przejezdnych o niebezpieczeństwach, co na podróżynych czyhają. Monstra jakieś miały mieszkać w rzekach pod mostkami i ludzi zjadać, a ja nawet strumyczka nie widziałam, a przydałby się, bo upał był coraz większy i napiłabym się chętnie zimnej wody. Dzikie hordy trolli miały na przełęczach się czaić z ogromnymi maczugami i kupcom łby rozwalać jednym ciosem. A tu nawet na horyzoncie żadnych pagórków nie było widać. Już myślałam, że ci podróżni z bardzo daleka musieli przybywać, bo ja chociażby do zwykłego lasu, w którym zwykli zbójcy napadają, nie doszłam. I zaczęłam się nawet martwić, czy moim przeznaczeniem nie jest dostać od tego palącego słońca jakiegoś udaru, albo innego zagranicznego choróbka, z którym bym się w domu pokazać nie mogła, aż tu nagle widzę na horyzoncie las. Szeroki, końca wcale nie było widać. Najpierw się ucieszyłam, bo miło będzie w cieniu drzew przejść kawałek drogi, a potem odrobinę zmarkotniałam, bo jak las szeroki, to pewnie i długi, a słońce, chociaż dalej ciepłe jak ognisko, już w dół zaczęło wędrować. A w nocy w lesie samej być, to żadna przyjemność. Nasłuchiwałam się w wiosce od przejezdnych o lichach, co w nocy się budzą. Chociaż jeśli ci przejezdni byli ze stron tak dalekich, że były tam trolle i monstra pod mostkami, to może licha też gdzieś daleko widzieli. Zresztą, licha czy nie licha, widać takie moje przeznaczenie. Pomyślałam jeszcze, że w lesie pewno jest jakiś strumyk i wreszcie napiję się zimnej wody, co bardzo mnie podniosło na duchu, bo wędrować z gardłem jak spróchniałe drzewo to żadna przyjemność, a nawet niewygoda.

Weszłam w cień drzew i od razu mi się lepiej zrobiło. Zaczęłam się rozglądać, czy nie ma w pobliżu jakiegoś strumyka. Taka głupia to ja nie jestem, żeby z drogi schodzić i szukać źródełek w gęstwinie. Już ja swoje wiem, słyszałam od przejezdnych, jakie to strachy siedzą w gąszczu i tylko zęby sobie szczerzą.

Szłam tak sobie przez ten las, w cieniu drzew, pragnienie mnie już porządnie zaczynało męczyć, a spomiędzy gałęzi coraz mniej słońca było widać i mrok zaczął zapadać. Ciemniej się zrobiło i zaczęłam się czuć trochę nieswojo. Zmęczona byłam, ale postanowiłam, że w lesie miejsca na spoczynek szukać nie będę, tylko iść muszę, aż z kniei wyjdę. Póki idę drogą, to na pewno się nie zgubię, więc przyspieszyłam kroku, starając się na boki ani przed siebie nie patrzeć, tylko pod nogi, żebym się o jakiś podstępny korzeń nie potknęła.

Nagle na drogę wyskoczyło kilku zamaskowanych drabów. Aż krzyknęłam ze strachu, a głos to ja mam taki, że płoszę ptaki na drugim końcu wioski. Zbójce aż się za uszy złapali, a jeden, herszt chyba, zdjął maskę i zaczął mi tłumaczyć, żebym nie krzyczała, bo oni porządnej paniencie krzywdy nie zrobią i tylko na bogatych, nieuczciwych kupców polują, albo rozpieszczone szlachcianki porywają dla okupu. To już się przestałam dziwić, dlaczego te szlachcianki tak często z zamku i do zamku mojej siostry podróżują, byle przez las przejechać. Ten herszt taki był przystojny, że pewnie jaśnie panienci tabunami przez ten las wałą, byle tylko je porwał i uśmiechał się do nich czarująco, jak na zbója-dżentelmena przystało. Ja wiem, że nie dla mnie, porządnej dziewczyny, takie mrzonki. I dobrze, bo bym pewnie zaraz zaczęła wdychać z miłości do niego.

A zbójce to naprawdę dżentelmeni byli. Powiedzieli, że mnie przenocują u siebie w kryjówce, razem z paroma porwanymi wcześniej panienkami, a rano odprowadzą do końca lasu. Jeden zaraz przyniósł pochodnię, żeby mi drogę oświetlić, bo tylko tego brakowało, żebym sobie nogę skrzyżowała. Jak ja bym wtedy dalej szukała mojego przeznaczenia. Spojrzeli w świetle tej pochodni na mnie i bardzo grzeczni byli, bo tylko jeden się troszkę wytrzeszczył. Nie dziwiłam im się, bo piękna to ja nie jestem, a jeszcze byłam po tej wędrownicy bardziej rozczochrana. Strasznie musieli być dobrze wychowani, bo herszt aż mi ramię podał i zaprowadził do kryjówki. Jaśnie panienci na mój widok piszczeć zaczęły i krzyczeć, że nie chcą być w żaby zamienione. Strasznie te szlachetki głupiutki bywają. Ale ja do nich głowy nie miałam, tylko głowę do poduszki przyłożyłam i zasnęłam.

Zmęczona musiałam być bardzo, bo obudziłam się już dobrze po świtanu. Zaraz też wstałam, bo w dalszą drogę trzeba mi było ruszać. Jak wyszłam z chatki, to jeden zbój upuścił kocioł pełen wody prosto na swoją nogę. Boleć go bardzo musiało. Herszt też troszkę dziwnie patrzył, jak mnie na śniadanie zapraszał. No, prawda, mama zawsze mnie pilnowała, żebym porządnie była ubrana i tak porządnie jak się da, uczesana. Sama się do takiego porządku doprowadzić nie umiem. Zjadłam, podziękowałam i ruszyłam dalej, odprowadzona przez dobrze wychowanych zbójów.

Jak wychodziłam z lasu, to tak sobie pomyślałam, że to już trzeci dzień tej mojej wędrownicy. Strasznie skomplikowane musi być to moje przeznaczenie, że tak daleko trzeba go szukać. No ale, co robić, przeznaczenia się nie wybiera, więc, żeby nie tracić czasu na rozmyślania, po prostu poszłam dalej. Obowiązek to obowiązek.

Szłam już ładny kawałek czasu, krajobraz jeszcze bardziej monotony się zrobił: sama łąka i łąka, nawet drzew już nie było, jak na horyzoncie coś się pokazało. Podchodzę bliżej, a tam od razu i kępa drzew, i jeszcze mostek nad rzeczką. I jeszcze coś tam pod tą kępą drzew. Pomyślałam sobie, że pewnie jeden z tych potworów, o których opowiadali przejezdni. No, trudno, myślę, jak takie jest moje przeznaczenie, to trzeba iść. No i poszłam na spotkanie mojego przeznaczenia.

Ale okazało się, że to jeszcze nie koniec mojej wędrownicy. Pod drzewami nie było żadnego potwora, tylko rozwalony wóz, który wyglądał jakby pastwiła się nad nim banda trolli. No ale trolle są w górach, więc nad tym wozem musiał się pastwić ktoś inny.

Już miałam pójść sobie pośpiesznie dalej, na wypadek, gdyby jednak pod mostem coś się czaiło, aż nagle słyszę jakiś jęk. Prawie mi się te moje kąty proste na głowie wyprostowały, bo już myślałam, że to wylazło paskudztwo z rzeki, ale to tylko jakiś człowiek cierpiał pod stertą desek. Odetchnęłam z ulgą, a że serduszko mam, nie chwając się, całkiem dobre, ale na szczęście nie złote - wtedy to dopiero miałabym ciężkie serce - poszłam sprawdzić, co z nieszczęśnikiem. Odgarnęłam już trochę te deski i resztki towaru, co go wóz wiozł, jak trafiłam na stłuczone lusterko, no i też jęknęłam. Nie dlatego, że pech, tylko zobaczyłam, jak wyglądam. Nic dziwnego, że zbójce trochę nieswoi byli. Już wspominałam chyba, że piękna nigdy nie byłam. Te kąty proste na głowie, nosek, i oczka zamulone. No a dzisiaj to te moje włosy nie dość, że jak zwykle powyginane, to jeszcze stały na wszystkie strony, jakbym uciekła z pracowni jakiegoś matematyka. Idąc przez las musiałam czupryną o jakieś gałęzie zaczepić i tylko patrzeć, jak jakiś ptaszek sobie na mojej głowie gniazdko upatrzy. Ta moja śliczna sukienka trochę mi się nadpruła i wygniotła, od razu widać, że ona lepsza na bal niż dla zwykłej dziewczyny. Twarz mi od tego słońca ogorzała, a oczka jeszcze bardziej zmętniały. I jak ja bym mogła się tak biednemu rannemu człowiekowi pokazać, co to nie wiadomo, co go napadło. Pomyśli jeszcze, że potwora wróciła dojeść ostatki.

Szybciotko czmychnęłam nad tę rzeczkę, opłukać wodą twarz i sukienkę, i trochę te włosy polać wodą, żeby tak nie sterczały. Jak już zajęłam się sobą, to nabrałam jeszcze wody w jakąś skorupę, na wypadek, gdyby rannemu trzeba było podać, i wróciłam do wozu. Odgarnęłam resztę tych desek i cóż widzę; leży pod nimi jakiś młody, pewnie szlachcic jaki, bo za delikatnie wyglądał na człowieka pracy, przykurzony, z raną na czole. Nie było to potężne chłopisko, a obok leżała trochę naderwana lutnia, więc odgadłam, że to bard pewnie. Trochę wody z tej skorupy wylałam mu na twarz. Ocknął się i zaraz zaczął pytać, kto tu jest.

Najpierw to się zdziwiłam, bo przecież stałam tuż obok, a potem mnie olśniło, że pewnie biedaczek jest ślepy. Niepotrzebnie tak się starałam, żeby go nie przerazić. Przyłożyłam mu zimny okład na to czoło i mówię, że nazywam się Żaba i pytam, co mu się stało. A on mi mówi, że napadła na karawanę banda dzikich trolli. Troszeczkę się zdziwiłam, bo przecieżtrolle to mają być w górach, tak mówili przejezdni. Pomyślałam, że biedaczek pewnie ma jakieś omamy od tego ciosu w głowę, no i jeszcze leżał na słońcu nie wiadomo ile. Więc zrobiłam mu zimny okład i postanowiłam przy tym zwałonym wozie przenocować, bo przecież samego go tak nie zostawię, a wlec ze sobą takiego świeżo rannego, to nieładnie. Zebrałam deski do kupy, wyciągnęłam z węzła krzesiwo i zrobiłam ognisko. Jedną, największą ułamaną deskę to sobie zostawiłam, na wypadek gdyby pod tym mostem mieszkał jakiś potwór, żebym mogła go w łeb dzielić. Z rozbitych kufców wygrzebałam jakieś peleryny, trochę poszarpane, ale za to wysokiej jakości, z jakichś zagranicznych materiałów. Jedną przykryłam barda, który zaraz zasnął, a drugą siebie. Pomyślałam, że taka peleryna to dobry pomysł, bo schowam się pod nią i nie będę straszyć ludzi, więc ją postanowiłam wziąć ze sobą. Ci, do których należała, to już jej nie potrzebują.

Zmrok zaraz zapadł, jakby się tylko czaił za tą kępą drzew. No, to ja sobie siadłam przy ognisku i wzięłam mocniej ten drąg w ręce. Niech no tylko coś spróbuje mnie zjeść, to zobaczy. Siedziałam tak, siedziałam i chyba przysnęłam, bo obudził mnie głos tego barda.

Mnie chyba wołał, bo pytał: „Żabciu?”. Dobrze, że mnie obudził, bo kto wie, czy przez takie przysypianie nie ocknęłabym się w brzuchu jakiejś bestii. No więc pytam się, o co mu chodziło, a on mi na to: „Skąd się tu wzięłaś, Żabciu?”. Troszkę dziwnie mi się zrobiło, bo nikt mnie nigdy Żabcią nie nazywał. Ale sympatyczny mi się wydawał, a ja szczerą jestem, więc mówię, jak to było i że szukam swojego przeznaczenia. Jak on mnie pyta, to ja jego też, widać już doszedł do zmysłów i rozmowa mu nie zaszkodzi - co on tu robi i kim jest. A on się uśmiecha i dalej pyta:

- Nie przyszło ci do głowy, że to niebezpiecznie podróżować samej, Żabciu?

Wzruszyłam ramionami. A bo to ja wiem, jakie jest to moje przeznaczenie? Jak ma mi się coś stać, to niech się stanie. Chociaż oczywiście wołałabym, żeby się nie stało. Jak już mu skończyłam to wyjaśniać, to znowu pytam, kim jest. Powiedział, że nazywa się Gustaw i jest wędrownym bardem. I obiecał, że ułoży o mnie piosenkę. Też mu przyszło do głowy, układać piosenkę o kimś takim jak ja. Kazałam mu iść spać, bo widać nie doszedł jeszcze zupełnie do siebie. Posłuchał chyba, bo już o nic nie pytał, a parę chwil później i ja zasnęłam. Dobrze, że pod mostkiem nie było żadnych monstrów, bo jak nic miałyby uczyć.

Coś ta wędrowka dziwnie na mnie wpłynęła, bo znowu jakoś długo spałam. Jak otworzyłam oczy, to słońce było już trochę nad horyzontem. Ognisko całkiem dogasło, a bard dłońmi sprawdzał, w jakim stanie jest jego lutnia.

- Dzień dobry. Żabciu - powiedział, jak podniosłam głowę. Przez chwilę zastanawiałam się, skąd u licha wie, że wstałam, skoro nie widzi, ale przypomniałam sobie, że przejezdni gadali, że ci, co nie widzą, to świetnie słyszą, i opowiadali o takim jednym, co, choć ślepy, potrafił ustrzelić ptaszka z łuku. No ale bard nie miał łuku, tylko lutnię, która nie była aż tak uszkodzona. Brzdąkał coś tam na niej, może jakąś piosenkę, ale ja się tam na muzyce nie znam i moja siostra, żona markiza, mówi, że mi duży zwierz na ucho nadepnął, ale nie wiem, kiedy niby mógł to zrobić, bo niczego takiego nie pamiętam i żadne moje ucho nie wygląda na przydeptane, a poza tym mama chyba by mi o czymś takim powiedziała.

Na szczęście jedno z tej kępy drzewek to była jabłonka, i chociaż jabłuszka jeszcze nie do końca były dojrzałe, to na śniadanie dla głodnych w sam raz. A potem mówię bardowi, że idziemy dalej, a jak po drodze będzie jakaś wioska, to mu te rany porządniej opatrzą. Mógł iść i wcale nie słabował, ale całą drogę coś przyspiewywał, a ja to się na takich rzeczach nie znam, więc mu mówię, żeby nie męczył i gardła sobie nie zdierał, bo ja i tak nic z tego nie pojmę. A on się roześmiał i mówi, że tym bardziej będzie śpiewał. Przestał dopiero, jak mu powiedziałam, że widzę wioskę przy drodze. Otuliłam się szczerzej tą peleryną, żeby ludzi nie straszyć, i weszliśmy między chaty. Zaczęłam się rozglądać, gdzie tu ktoś jest, żeby się bardem zajął. A tu zamiast ludności miejscowej widzę paru opryszków, co to pewnie biednych wieśniaków nękają, a z nudów i nas zaczepiać chcieli. Jeden chciał przyłożyć bardowi, ale go kompani powstrzymali, mówiąc, żeby grajka nie bił, bo wtedy ten im śpiewać nie będzie mógł. A do mnie mówią: „śliczna dziewczeczko, pokaż nam liczka". Dużo ich było i przewagę liczebną mieli, więc już im nawet nie tłumaczyłam, że lepiej nie, tylko zdjęłam pelerynę. Noclegi byle gdzie i podróż urody mi nie dodały, a przedtem też mało piękna byłam. Zbóje tylko wrzasnęli, że czarownica, i uciekli. Nawet zrabowanego dobytku zapomnieli. Bard się pyta, co się stało, to mu zaczęłam tłumaczyć. Jak mu wyjaśniałam, to z kątów powyłazili ludzie co w tej wiosce mieszkali i zaczęli mi dziękować i prosić, żebym w ich wiosce zamieszkała, bo czarownica to zawsze pomoże i szczęście przyniesie. Zaczęłam im tłumaczyć, że muszę szukać mojego losu, jak bard się zniemacka pyta:

- A skąd ty wiesz, Żabciu, że to właśnie nie jest twoje przeznaczenie?

Zamyśliłam się i musiałam się zgodzić. Z tej wioski do domu mam jakieś cztery dni drogi, ludzi sympatyczni mi się wydali, a czarownicowanie nie jest takie trudne, dobrze znam te dwa przepisy czarownicy z naszej wioski. Więc zostałam.

Dwa dni później bard odjechał dalej z przejeżdżającymi kupcami, mówiąc, że obowiązek na nim jakiś ciąży i obiecując, że wróci zaśpiewać mi tę piosenkę, co ją o mnie układa. Poradziłam mu, żeby na trolle uważał, bo mu jeszcze bardziej na głowę zaszkodzi.

Mieszkałam w tej wiosce już ładny tydzień i coraz lepiej mi tam było, gdy jakiś przejezdny wędrowiec zatrzymał się przed chatką, co mi ją wdzięczni ludzie zbudowali. Wyszłam zobaczyć, kto to taki, a to zasuszony jak śliwka staruszek z mojej wioski. Spojrzał na mnie, zdziwił się strasznie i pyta:

- Jeszcze tu jesteś?

No i cóż innego ja mogłam zrobić, jak nie ruszyć dalej.

**Milena Wojtowicz**